Nr. 4. Kwiecień 1889. **Rok III.**

Wychodzi w Krakowie co **miesiąc.** Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.; dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

OPIEKUN ZWIERZĄT
DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.
ORGAN
KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA
OCHRONY ZWIERZĄT.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Smoleńska l. 21. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

„Człowiek najlitościwszy jest także najlepszy".
Schopenhauer.

Odpowiedzialny redaktor:
Bronisław Gustawicz.

ŻALE WRÓBELKA.

Kiedy wolną mam chwilę,
więc podumam dziś sobie....
choć to trochę niemiłe,
lecz cóż zrobię? co zrobię?

Ludzie na mnie tak krzyczą,
prześladują, — nie lubią,
zwą hałastrą i dziczą,
czyż się z tego pochlubią?

Czylim jaki morderca?
cudzą krzywdą czy żyję?...
że dla mnie mało serca
w piersi ludzkiéj się kryje?

Kocham bardzo swą ziemię,
swe gniazdeczko, swe dziatki;
przywiązane me plemię
do rolników i chatki

A że czasem na łanie,
ziarnek trochę podzióbię,
nic się złego nie stanie,
szkody robić nie lubię!

A owadów co zjadam,
tych szkodników rolnika!...
Że tę cnotę posiadam,
w to nasz wieśniak nie wnika.

Lecz mię w zimie i w lecie
prześladuje i goni; —
a tu biedny na świecie,
czym się ptaszek obroni?

Com ja winien — mój Boże,
że me piórka nieładne, —
ruchy zwykłe, niehoże,
i ćwierkanie nieskładne?

Ale czasy nastają
coraz lepsze dla ptactwa;
dzieci nas już kochają,
mniéj na świecie dziwactwa.

Więc choć bieda mnie gniecie,
pocieszam się nadzieją:
milszą życie na świecie
płynąć będzie koleją!

Franciszek Marzec.

Słowo do Podhalan
w sprawie ochrony świstaków i kozic w Tatrach.

Dwadzieścia lat mija, gdy tak po naszéj stronie, jak na Spiżu głośniéj zaczęto przemawiać za świstakami i kozicami, już niemal wtedy całkiem w Tatrach wytępionymi, i gdy Was, mili Podhalanie, doszło upomnienie, aby tych zwierząt nadal

nie prześladować więcéj. Już wtedy, dzięki Panu Bogu, znaleźli się między Wami tacy, którzy zastanowiwszy się nad tym, co do nich prawiono, przyznali, że przedstawienia czynione im w sprawie ochrony tych zwierząt jużto przez osoby uczone, już téż przez urząd duchowny i świecki, nie były niesłuszne. Ci otóż rozumniejsi i uczciwsi Zakopianie i Podhalanie, porzuciwszy brzydkie rzemiosło, jakim jest kłusownictwo, stali się gorliwymi obrońcami tych niewinnych i nieszkodliwych stworzeń i wiernymi stróżami ustawy z 19 lipca 1869, sankcyjonowanéj przez Najjaśniejszego Pana, zakazującéj łapania, wytępiania i sprzedawania świstaków i kozic. Wśród takich okoliczności zdawałoby się, że zwierzęta te doznają błogiego spokoju i że na ich życie nikt niegodzi. Niestety, znajdują się dziś jeszcze między Wami, mili Podhalanie, tacy gospodarze, co sprawy téj nie pojęli i nie przyjęli tak, jak po człowieku rozumnym i posłusznym należy się spodziewać, i mimo obowiązującéj i surowo karzącéj ustawy zajmują się wystrzeliwaniem kozic i wybieraniem świstaków z nór podziemnych.

Do Was tedy, uczciwych i rozumniejszych Zakopian i Podhalan wogóle, odzywa się Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt, wzywając Was, abyście wytrwali w powziętym lepszym przekonaniu i żadną miarą nie cierpieli między sobą rzemiosła, ściągającego na Was ohydę przed światem. Nie niszczcie, nie wytępiajcie, owszem najstaranniéj zachowujcie to, czym Pan Bóg ozdabia hale Wasze, wszystko jedno czy to świstak, kozica lub ptak jaki, byle niedrapieżny. Dobrym przykładem jedni drugich powstrzymujcie od niszczenia tych zwierząt i do podzielania rozumniejszego rzeczy pojmowania nakłaniajcie. Boć rzeczywiście trzeba serca twardego, jak te głazy tatrzańskie, aby bez zastanowienia się i bez litości wytępiać zwierzęta tak niewinne, tak przyjemne, jakimi są właśnie kozice i świstaki, zwierzęta nie mogące nikomu szkodzić, zwierzęta stworzone, jak owe kwiaty, co zdobią hale, jedynie dlatego, aby ożywić martwe bez nich turnie. Wszak sami nie powinniście tego chcieć, aby Was potępiano jako ludzi niemających żadnego zmysłu dla przyrody ojczystéj, albo co gorsza, jako barbarzyńskich niszczycieli tego, czym Opatrzność przed innymi ziemiami Wasze góry uposażyła, jako ludzi upartych w zabobonach, boć nie rozum, ale zabobon jest przyczyną wytępiania świstaków, a rzeczą ohydną i niegodziwą jest, dręczyć zwierzęta w oklepcach lub przez skaleczenie niewprawnym strzelaniem, jakto niestety często się dzieje.

Wy, uczciwsi i rozumniejsi gospodarze, którzyście przed dwudziestu laty zdołali przytłumić w sobie dawne namiętności, co Wam tylko chlubę przynosi, połączcie się znowu razem ku obronie świstaków i kozic od nowego prześladowania i ku zachowaniu tych zwierząt halom Waszym. Nie idźcie i nie dozwalajcie innym iść za tym, co jest bezwarunkowo nagannym, i nie zastawiajcie się złem, które widzicie gdzieindziej, owszem, co jest rozumne i dobre, to naśladujcie i innych do tego zachęcajcie. Sadłem świstaków nie uleczycie się, mięsa ich nie najecie się, a futerkiem lichym nie okryjecie się. Dajcie im więc spokój wraz z kozicami. Do leków, mianowicie do maści, prócz tłuszczu wieprzowego i łoju baraniego, żadnego a żadnego innego tłuszczu lekarze nie zapisują, bo na nic się nie zda. Jeśliby zatym w jakiéjbądź aptece, jak mówią, sprzedawano wam nibyto tłuszcz świstaków, jestto niegodziwe korzystanie z nierozumu ludzi prostych dlatego tylko, aby utargować kilka centów. Wy bierzecie w takim razie tłuszcz świński zwyczajny i dobrze go przepłacacie. Z drugiéj strony zaś pytamy, czy człowiekowi uczciwemu i wykształconemu milszym być powinno uwolnienie innych od fałszywych wyobrażeń i zabobonów, czy pozostawianie ich w ograniczeniu dla zarobku kilku groszy? Jak złe tak i dobre udziela się innym. Więc usiłowania Wasze znajdą uznanie u innych i nie zostaną bez skutku dobrego, bylebyście szczerze i wytrwale pilnowali sprawy; nicponiów zaś ukrócicie tym pewniéj, że ich dobrze znacie, a w razie potrzeby znajdziecie pewne poparcie w urzędzie i u starszyzny gromadzkiéj.

Pisano w Krakowie, w wigiliją św. Józefa.

PSY W NIEMCZECH.

Ze sprawozdania reńskowestfalskiego towarzystwa ochrony zwierząt w Kolonii, wydanego po zebraniu wiadomości od 51 towarzystw w Niemczech o istniejących co do psów przepisach, urządzeniach, kagańcach, linewkach itp., dowiadujemy się:

1) kaganiec nie istnieje w całym okręgu akwizgrańskim;

2) chwilowo tylko w czasie t. zw. *Hundesperre* w Szlezwiku, Holsztynie, mniejszych miastach w Bawaryi, Saksonii, Wirtembergii, Hesyi, Meklemburgu, następnie w Brunszwiku, Gocie i Hamburgu;

3) co do formy kagańców istnieją szczegółowe przepisy;

4) prowadzenie psów na linewkach zniesiono w Dreźnie i Hamburgu;

5) w wielu miejscowościach psów nie łapią, a w innych zaś łapanie ich odbywa się: pętlicą, linewką lub siatką;

6) szczególne urządzenia do zabijania psów istnieją w Norymberdze, Szlezwiku, Altonie, Miśnii i w miastach Wirtembergii; podobne zarządzenia zaprowadzają w Kolonii, Wiesbadenie i Itzehoe;

7) zabijanie odbywa się w Norymberdze odurzeniem i przebiciem serca *(Herzstich);* w Szlezwiku zapomocą chloroformu i następnie strangulacyją; w Altonie i w miastach Wirtembergii otruciem; w Hamburgu bezwodnikiem węglowym, czego w Monachijum nie zalecają;

8) opłata od psów wynosi od 2 do 20 marek.

O ciekawéj dowiadujemy się także rzeczy, że w Itzehoe te psy są wolne od opłaty, które ubodzy posiadacze tylko w tym celu trzymają, aby leżąc w nocy w łóżku na chorych członkach swych posiadaczy, leczyły ich od podagry, reumatyzmu i innych chorób nerwowych.

O wy biedne, wierne i wdzięczne, a wszędzie wyzyskiwane, krzywdzone i prześladowane zwierzęta!

Z Mies. gal. tow. ochr. zw. 1889. Nr. 2.

SZKICE Z NATURY.

I. Jaskółka.

Wielebnemu X. A. Kromerowi, wielkiemu miłośnikowi ptaszków. **Autor.**

Pod strzechą małéj, nędznéj lepianki jaskółki ulepiły sobie gniazdeczko. Czemu pod strzechą? czemu u nędznéj lepianki? a kto to wie?! Widać, że ubóstwo przeniosły biedne ptaszęta nad bogactwo, widać, że dla nich milszą jest ku upadkowi chyląca się chatynka, niż dom murowany. Lżéj tu im pędzić to życie pełne trosk, nieszczęść i zawodów, gdy widzą, że od nich niewolni są i ludzie, o całe niebo wyżéj nad nimi postawieni.

Biedny wyrobnik — lepianki mieszkaniec — tym jaskółek towarzystwem cieszył się niezmiernie.

»Bogu Najwyższemu dzięki, widocznie opiekuje się mną jeszcze, gdy mi na pociechę te milutkie zesłał stworzenia. »Patrzcie — mówił do dwóch maleńkich chłopczyków — patrzcie, nikt ich nie uczył gniazd budować, a jak one je pięknie lepią! Gdy je ukończą i wyścielą, zniosą jajeczka i będą miały dzieci, którymi tak cieszyć się będą, jak ja wami«.

Malutki Antoś, w białéj koszulce, trzasnął biczykiem

w zamiarze spłoszenia ptaszątek. Jaskółki przestraszyły się widocznie, bo przerwały robotę i na wyrobnika rodzinę spojrzały z bojaźnią i wyrzutem.

»Nie płosz ich, Antosiu« — zwrócił mu uwagę brat starszy — »widzisz, będzie nam weselej z nimi, a potym Bóg by się na ciebie gniewał«.

Jaskółeczki skończyły wreszcie budowę, zaczęły znosić do nowego domku piórka, siano, źdźiebełka drobne, nie bały się już dziatek swego gospodarza, zaprzyjaźniły się z nimi nawet, siadając z rana na otwartym okienku i ćwierkając wesoło, jakgdyby mówić im chciały: »Dzień dobry dziateczki, — jakżeście spały?«

Wyrobnik żony nie miał, umarła, zostały sieroty, dla których słowo »matka« znanym być mogło tylko z opowiadania innych dziatek, co się do nich czasem bawić przychodziły; zostały sieroty, które słodyczy macierzyńskiego uścisku doznać nie miały nigdy. Gdy ojciec wychodził na robotę, dzieci całymi dniami pozostawały same, zamknięte; otwierały wtedy okienko i smutnie patrzały na inne dziatki, które mają matki, na niebo błękitne, w którym rodzicielki swej odczuwały duszę, i na ptaszęta, co nad ich główkami założyły gniazdko. Dziatkom było też teraz weselej, nie były same. Mijały dni, tygodnie — spokoju ptaszątek i sierot wyrobniczych żaden nie zakłócił przypadek. Samica siedziała już na jajeczkach; samiec latał po świecie, chwytał w dzióbek muszki i przybywał co rychlej do gniazda, pieścił się z swoją połowicą, całował ją dzióbkiem, jakgdyby jej pieszczotami chciał ubiegłą osamotnienia chwilę wynagrodzić. Czasami nie było go widać dłużej, ha! trudno, — połów nie zawsze może być obfitym. Wtedy wychylała ona z gniazka tęsknie główkę, maleńkimi oczkami to w jedne, to w drugą stronę, a serduszko biło jej z obawy, czy się ukochanemu co złego nie przydarzyło w świecie. Z gniazdka ponad oknem zawieszonego, zaglądały wieczorem do izby, gdzie wyrobnik z roboty powróciwszy, siadał wraz z sierotami przed ogniskiem, warzył dla nich i dla siebie strawę, uczył je pacierza, pieścił, pocieszał, bo chciał im osłodzić sieroctwo, wiedząc, że jest dla nich wszystkim i ojcem i matką. Widziały to wszystko jaskółeczki i tak pokochały tę nieszczęśliwą rodzinę, która je pod swoję przygarnęła strzechę, że już dzisiaj smuciły się, iż kiedyś trzeba się będzie z nią pożegnać, gdy przyjdzie im przed zimą opuścić ojczyznę.

Z czasem w gniazdku zrobiło się weselej; parka jaskółek miała już tę pociechę, że po sobie zostawi potomstwo, że jesienią polecą do cieplic z liczniejszą drużyną. Maleńkie jaskółeczki, niedołężne z początku, rosły pod okiem troskliwych rodziców, tuląc się nocą pod ich skrzydła opiekuńcze, odbierając dniem z ich dzióbków pożywienie, którego same wynajdywać jeszcze nie umiały. To też w gniazdkach ponad okienkiem, wesoło było bardzo; rodzice wylatywali często na żer, ale rychło powracali z obawy o życie i los swych niemowlątek.

Dzień był parny; — zdawało się, że słońce cały swój żar wyzionąć chciało na biedną ziemię. Jaskółki siedziały w gniazdku zmęczone, zleniwiałe z dzióbkami z gorąca rozwartymi; — w lepiance przy okienku siedziały samotne sieroty, patrzały przez nie na świat Boży, ciesząc się i słońcem, co im dopiekało i zielonością, co ich rozweselała, i swoimi komornikami w glinianym gniazdeczku, którzy osładzali im chwile samotności i sieroctwa. Nagle samiczka posmutniała, główkę pochyliła na piersi i zamyśliła się głęboko. Samczyk zaraz smutek połowicy spostrzegł i rozweselić ją zamierzał.

»Co tobie na sercu dziś leży?« spytał troskliwie.

»O, nic, mój miły,« smutnie odpowiedziała zapytana, »sama nie wiem, co mnie zaczyna dręczyć; — przeczuwam nieszczęście!« I znowu zapadła w smutek taki, że zeń nawet niemowląt kwilenie zbudzić jej nie zdołały Samczyk pozostawił ją na chwilę, sam na żer wyleciał. I jemu lekko jakoś na sercu nie było; niby to bujał sobie po powietrzu, a wolnym się nie czuł; niby muskał wód kryształy skrzydełkiem, a one orzeźwić go nie zdołały, było mu ciasno i duszno. Z dzióbkiem muszek pełnym wracał ku domowi, — już był niedaleko,—słup dymu przyciemnił słońce; zrozumiał niebezpieczeństwo, jego rodzinie, grożace wyciągną' skrzydełka, nabrał powietrza, przyleciał, było już zapóźno; dym nie pozwolił mu dojrzeć, co się w gniazdku dzieje, żar do niego przystąpić nie dał. Z okienka rozległ się krzyk dziatek o ratunek, — starszy chłopczyk zdołał wyskoczyć okienkiem, wołając daremnie: »Ratujcie Antosia, on tam w izbie!« W gniazdku kwiliły ptaszęta, matka nie odstępowała ich w ostatniej chwili, skryła je pod skrzydełka, myśląc, że one od ognia je ochronią; — oczka zmrużyła, z rezygnacyją oczekując śmierci. Chatynka cała stała już w płomieniach, — wyrobnik przybiegł zdyszany, zbliżył się jeszcze do gorejących ścian, do których nikt dostąpić nie mógł, wpadł do izby, chcąc wyratować dziecię....

Samczyk widział to z góry i on rzucił się na ratunek swej połowicy i dzieci; — dym ukołysał go do snu śmiertelnego, nielitościwy ogień wszystko w zgliszcza zamienił....

Stanisław Polaczek.

MYŚLI JÓZEFA CHMIELEWSKIECO.

Kto dobry dla zwierząt, będzie i dla ludzi,
złym zaś, gdy dla zwierząt serce swe ostudzi.

Zwierzę okazuje nieraz przywiązanie,
że nawet człowieka zawstydzić jest w stanie.

W iluż razach pada nieżywe na grobie,
nie mogąc znieść żalu po zmarłej osobie!

Potrafi ocenić dobroczynną rękę;
śmiercią okazuje za to swą podziękę.

Zwierzę nie chce pieszczot, ale łagodności;
za nią się poczuje pewnie do wdzięczności.

Gdy jest jeszcze młode, niejeden je pieści,
gdy je złamie starość, zadaje boleści.

I gdzież wtedy serce, gdzie wtedy sumienie?
Zwierzę jednak zniesie wszelkie udręczenie.

Lecz zaznaczy bólem, schodząc z tego świata:
że miało w człowieku niewdzięcznego kata.

Przyrządy do odurzania świń, cieląt i owiec.

Dyrektor rzeźni w Erfurcie, p. *Kleinschmidt*, zbudował r. z. dwa przyrządy do odurzania świń, cieląt i owiec, które zaprowadzone w wielu rzeźniach publicznych w Niemczech okazały się nader praktycznymi.

Jeden z tych przyrządów, młot z bełcikiem *(Schlagbolzenhammer)* składa się z walcowego, na dolnym końcu ostro ściętego stalowego bełtu, który wraz z nasadą mierzy 5 cm. długości, a 1 cm. w średnicy. Przyrząd ten osadza się na kości czołowej, a zapomocą uderzenia młotkiem drewnianym, 3 kg. ważącym, wbija w mózg zwierzęcia.

Drugi przyrząd «aparat z bełtem sprężynowym» *(Federbolzen-Apparat)* składa się również z żelaznego walca, na którego dolnym końcu znajduje się bełt z ostrym brzegiem. Silna sprężyna wciska bełt w górną część walca. Osadziwszy przyrząd na kości czołowej zwierzęcia, uderza się drewnianym młotkiem w główkę bełtu, który wchodzi w mózg na 5 cm. głębokości, a pod naciskiem sprężyny zaraz wraca do pierwotnego położenia.

Oba przyrządy działają nader szybko. Zwierzę pada w okamgnieniu bez bolu. Po tym odurzeniu można spokojnie zwierzęciu gardło poderżnąć.

Przyrządu z sprężynowym bełtem używa się głównie do odurzania świń. U zwierząt, u których wąskie czoło (np. u świń bakońskich) nie przedstawia dostatecznej podstawy do ustawienia walca, używa się pierwszego przyrządu Tenże służy także do odurzania cieląt i owiec.

Przywiléj wyrabiania tych przyrządów oddał p. Kleinschmidt fabryce machin *Höhnemann'a i Küchler'a* w Erfurcie. Pierwszy przyrząd kosztuje 4·3 marki (2·50 złr.), drugi zaś 13·5 marki (8 złr.). Tażsama fabryka wyrabia udoskonalone przez Kleinschmidta maski rzeźnicze dla bydła rzeźnego, odznaczające się doborowym materyjałem i trwałością bełtów. Maska taka z rezerwowym bełtem kosztuje 22 mrk (13 złr), a młotek drewniany do wszystkich przyrządów 3·5 mrk (2·10 złr).

Niemieckie pisma fachowe, jak *Deutsche Fleischer-Zeitung*, *Rundschau aus dem Gebiete der Thiermedicin*, *Zeitschrift für Fleischbeschau und Fleischproduktion*, *Internationale Fleischer-Zeitung*, jakotéż weterynarze krajowi i inspektorowie rzezalni publicznych (*Dr. Vaerst* w Meiningen, *F. Rothe* w Lipsku radca sanitarny *Knüsel* w Lucernie itd.), wyrażają się z wielkim uznaniem o tych przyrządach, stwierdzając nietylko usuwanie wszelkiego dręczenia, lecz także wielkie korzyści dla rzeźników, a głównie dla konsumentów, *spożywających mięso dręczeniem zwierząt niezakażone.*

Przyrządy te czynią zadość wszelkim warunkom higieny i ochrony zwierząt i posiadają następujące korzyści: 1) głowy zwierząt są czyste i nieuszkodzone, 2) wykrwienie następuje najzupełniejsze; 3) zwierzę ginie bardzo prędko; 4) zwierzę nie doznaje dręczenia i nie wydaje żadnego głosu. — *Allg. Thierschutz Zeitschrift. Darmstadt. 1888 Nr. 10.*

Z ŻYCIA PSÓW.

I. Objawy litości. W pewnym domu, stojącym tuż przy piekarni, był kilkanaście lat temu duży pies, którego «Stróżem« dlatego nazywano, ponieważ pilnował domu. Za domem ciągnie się ogród, przy którym z jednéj strony jest wysoki mur, oddzielający ogród od podwórza, należącego do pomienionéj piekarni.

Stróż rzadko kiedy był na łańcuchu, zwykle chodził wolno. Rzeczywiście spełniał on bardzo gorliwie swoje powinności i w nocy nie dopuścił nikogo do domu swego pana. Znajomych przy spotkaniu odprowadzał aż na miejsce, poczym znowu biegał koło domu lub po ogrodzie. Szkody nikomu nie wyrządził.

Żywności nie brakowało mu nigdy; miał jéj nawet podostatkiem. Był też przytym nadto litościwy dla swoich zgłodniałych braci. Gdy nie mógł spożyć swoich porcyj, lub gdy zdobył więcéj żywności, zanosił ją do ogrodu, chował pod krzaki agrestowe i przysypywał lekko ziemią pulchną. Spotkawszy następnie psa zgłodniałego, prowadził go do swoich schowków i pozwolił zjadać zapasy do sytości, odgrzebując je zręcznie łapami swymi.

Szczególnie zaś lubił opiekować się chorymi psami. Dał tego wymowny dowód przedewszystkim raz, gdy obaczył chorą sukę. Przyprowadził ją do ogrodu i umieścił na miękkiej ziemi pod gęstym krzakiem bzowym. Tam donosił jéj pożywienie i odwiedzał ją tak długo, dopóki wzmocniona na siłach nie zdołała opuścić miejsca z trojgiem szczeniąt, które tutaj porzuciła.

Bywało, że robotnicy z piekarni w nieuczciwy sposób przerzucali nocną porą bochenki chleba przez mur do ogrodu, a wracając tędy od roboty z rana, zabierali je z sobą. Stróż ułatwiał im często pracę. Ilerazy znalazł bochenek chleba, zanosił go w opisane miejsce i nazajutrz zapraszał swoich towarzyszów na przygotowaną ucztę. Nieraz też przy téj sposobności zacięta była bójka, któréj Stróż poradzić nie potrafił.

Już był dosyć stary, gdy mu jakiś zły człowiek przetrącił grzbiet prawdopodobnie ze zemsty. Znosił wielkie bóle, ale cicho i cierpliwie; spoglądał na ludzi miłosiernie i pozwalał sobie przykładać wszelkie maści i okłady. Poźniéj schnął i chudnął nadzwyczajnie. Ażeby mu tedy ulżyć w boleściach strasznych, wystrzałem ze strzelby odebrano mu życie. Wszyscy go żałowali, a dzieci nie mogły się utulić w płaczu.

2. **Skutki przyzwyczajenia**. Czym jest przyzwyczajenie w młodości dla ludzi, tym jest ono i dla zwierząt. Przekonałem się o tym na psie własnym. Otrzymałem go wtedy, gdy miał ośm miesięcy życia. Był to nieczystéj rasy pudel. Mieszkałem podówczas w Mielcu przy błoniach, na których były doły, napełnione mułem i wodą. Po deszczu wodzili go chłopcy w nieobecności mojéj do owych dołów, a gdy się zaszargał należycie, szczuli go na żydków, patrzących się zawsze, ilerazy pudel brodził po wodzie i błocie. Od tego czasu przyzwyczaił się do błota. Po każdym deszczu, zawalawszy się niesłychanie, przychodził do domu i wszędzie robił nieporządek. Tosamo czynił, gdy gdzie napotkał większe błoto. Zdawało mu się chyba, że się tym sposobem przypodoba. Oprócz tego znienawidził sobie żydów licho ubranych i wogóle ludzi w podartych sukniach. Rzucał się na nich dosyć często, rozdzierał im suknie, w skutek czego miałem różne wydatki i nieprzyjemności. Bryś odzwyczaić się nie dał żadną miarą.

Po dwóch latach przeniosłem się do Wadowic. Tutaj tylko po deszczu walał się swoim zwyczajem, ale na ludzi napadał czasem, zwłaszcza, gdy w téj chwili usłyszał skowyczenie psa drugiego. Zdawało mu się, że mu krzywdę wyrządzono. Po największéj części bujał po polach lub nad rzeczką, albo spał całymi godzinami. Czuł zaraz, gdy wchodził żebrak. Zrywał się nagle, szczekał i chciał się rzucać.

Lubił wygodę. Często w nocy zabierał po kryjomu koc lub inne rzeczy i urządzał sobie z nich legowisko pod stołem, na którym był rozwieszony wielki obrus, snać nie chciał, by go kto widział. Najlepiéj zaś lubił spać w łóżku w nogach mojego synka. Z rana schodził cicho, by go nie spostrzegła moja żona.

Rozumiał dobrze, gdy go o co napomniano. Ale upór miał zawsze przewagę u niego. Biciem nie dałby się nakłonić do niczego. W nocy czasem wybiegał, znowu po pewnym czasie wracał i nigdy nie odchodził od domu. Czujny był nadzwyczajnie. Dzieci bardzo lubił i najchętniéj przebywał w ich towarzystwie. Wtedy był bardzo szczęśliwy i wesoły. Ze starszymi nie chciał chodzić. Za dziećmi poszedł wszędzie na jedno słówko. Pokarmu nie brał odrazu; nasamprzód go opatrzył dokładnie.

W jesieni zeszłego roku po pięcioletnim pobycie w Wadowicach przybyłem z rodziną do Krakowa. Pies zginął w Wadowicach. Na drugi dzień wiedli go na sznurku chłopi, wiozący rzeczy. W drodze się urwał i uciekł do Wadowic. Po kilku dniach spotkali go synowie na plantacyjach w Krakowie. Przybył z nimi do mieszkania. Tutaj mu było bardzo smutno i tęskno. Cały dzień leżał i przez sen skomlił. Ponieważ mieszkam na piątrze, wychodził tylko do sieni, czasem na podwórze małe i zaraz wracał. Stracił żywość i cierpiał na brak apetytu. Nie miał gdzie, to téż nie mógł swobodnie biegać. I zmiana miejsca wpłynęła widać na niego niekorzystnie. Na trzeci dzień wieczorem poszedł z chłopcami do miasta i nie wrócił więcéj. Dopiero po miesiącu dowiedzieliśmy się przypadkowo, że przebywa u jakiejś osoby nieznajoméj. Sprowadzono go do domu. Był bardzo posępny, chudy i osłabiony. Ledwie zdołał stać na nogach. Leżał ciągle, wstrząsał sobą, nie przyjmował pożywienia, oczy miał błędne i z trudnością poznawał domowych ludzi.

Posłaliśmy go zatym na drugi dzień do Podgórza do krewnych naszych. Tam dano mu lekarstwo z mleka, prochu strzelniczego i siarki. Wkrótce przyszedł jakoś do siebie. Zaczął przyjmować pożywienie i biegał po ogrodzie. Nocy przepędzał na strychu lub w stajni. Później na cały dzień wybierał się do miasta i dopiero wieczorem powracał do domu. Z chłopcami raz tylko odwiedził nasze pomieszkanie i tegosamego dnia powrócił do Podgórza. Niebawem po kilka dni nie bywał w domu naszych krewnych. Wreszcie znikł Bryś na zawsze i już od kilku miesięcy ślad po nim zaginął zupełnie.

3. Wzruszająca wierność. Działo się to niespełna przed dwoma laty. W Królewcu w Prusiech posiadała panna X. X. pięknego psa bernardyńskiego, którego sama wychowała. Pies przywiązał się tak bardzo do swojéj pani, że jéj najpunktualniéj towarzyszył na wszystkich przechadzkach i przejażdżkach i bronił jéj w każdym razie. Blisko dwa lata temu w lecie wpadła jego pani w głęboką wodę i była już bliską utonięcia. Pies, leżąc na brzegu, zrozumiał wołanie o pomoc, wskoczył czymprędzéj do wody i ocalił jéj życie. Innym zazem z palącego się domu, do którego już nikt wejść się nie odważył, ocaliło roztropne zwierzę na rozkaz swojéj pani małe dziecię z kołyski, unosząc je ostrożnie w swoim pysku.

Nagle zachorowała jego pani i umarła. Niespokój biednego zwierzęcia, jego przygnębienie i wstręt do podawanego pokarmu

przekonywały każdego namacalnie, że ono dobrze poznało nieszczęście swoje. Nie można go było wyprowadzić od zwłok pani. Nic nie pomogło ani głaskanie, ani bicie; musiano użyć gwałtu i przywiązano go do łańcucha.

W budzie zachowywało się poczciwe psisko całkiem spokojnie, ale, gdy nastał dzień pogrzebu i orszak pogrzebowy ruszył ku cmentarzowi. zaczął ulubieniec zmarłej szamotać się rozpaczliwie, aż wreszcie z straszliwą siłą rozerwał łańcuch, pobiegł pełen smutku jako pierwszy za karawanem i spokojnie przybył aż na cmentarz. Gdy spuszczono trumnę do grobu, tylko z wysileniem wielkim udało się kilku panom, iż mu przeszkodzili, że za zmarłą nie wskoczył do dołu. Na cmentarzu pozostał sam jeden. Żadną przemocą nie można go było odpędzić z tego miejsca. Na drugi dzień znaleziono go nieżywego na grobie swojej pani.

4. Roztropność. Zeszłego roku, jednego dnia wieczorem. na targowicy w mieście Aussig byli ludzie świadkami ciekawej sceny. Nadszedł duży pies z ogromnym koszem, napełnionym mięsem. Kroczył dumnie, jakby umiał cenić wielkie zaufanie, jakie w nim jego państwo pokładało. Lecz, o zgrozo! wnet nadbiegł drugi pies do niego. Zwietrzywszy mięso, oderwał spiesznie wieko i rozpoczął gospodarować w cudzym koszu. Przez chwilę zawahał się bezbronny «Karo», co ma czynić w tak krytycznym czasie. Wtym wpadł na pomysł. Postawił kosz na ziemi i dalej w zapasy z zaciętym napastnikiem. Mimo swego męstwa nie mógł obronić kosza. Uległ przemocy w walce. Kosz został wywrócony. Zbiegła się psów zgraja i zaczęła urządzać sobie ucztę. Teraz dopiero, gdy Karo widział, że wszystko stracone, pozwolił sobie i on także zjadać przysmak rozrzucony. Po skończonej uczcie smutno zwiesił uszy, porwał koszyk i z nader kwaśną miną noga za nogą szedł do domu, myśląc w każdym razie o tych plagach, które spadną na jego kudłatą skórę. Czy je otrzymał, niewiadomo.

Józef Chmielewski.

POWITANIE BOCIANA.

Witaj nam, witaj biały bocianie,
już się ojczysty raduje łan,
bo jakby na twe dziś powitanie
w majową suknię stroi go Pan.

Z tobą, nasz druhu, zawita wiosna,
i oracz w pole wywiedzie pług,
z tobą piosenka zabrzmi radosna
i szczęście wiejski przestąpi próg.

My ci na staréj naszéj topoli,
ponad strzechami uścielem tron,
ażebyś z niego strzegł ojców roli
i własnych swoich rodzinnych stron.

A kiedy mroźna jesień nastanie
i trawki szronu okryje pleśń,
my ci jak dzisiaj na powitanie
znów pożegnania zanucim pieśń.*)

Czas przylotu boćków do ojczystego kraju nadchodzi. Śniegi pokrywają jeszcze grubą warstwą pola, moczary i oparzeliska a mroźne wichry dmą na wsze strony. Nie ma dla nich jeszcze pożywienia. Gdy więc przybędą zawcześnie, czeka ich śmierć głodowa. Ratujcież więc tych pierwszych zwiastunów wiosny od strasznéj, bo głodowéj śmierci! W każdym dworze, w każdéj chacie wieśniaczéj znajdzie się trochę ziemniaków: te ugotowane i pogniecione wraz z innymi odpadkami kuchennymi przy sprawianiu drobiu, składajcie w miejscach dostępnych dla tych miłych gości, a uszanujecie w ten sposób jeden z dawnych, pięknych zwyczajów naszych pradziadów, którzy — jak wiadomo — z upragnieniem czekali powrotu boćków, przygotowywali im gniazda i z radością witali dawnych swych znajomych. Nie bądźcież więc, mili Ziemianie, dla boćków tym, czym Prusacy dla naszych Rodaków w Wielkopolsce!

To ptak domowy, pożytek go taki:
Jadowite, sprosne trawi robaki,
i przecież rzadko myśliwiec nań jedzie,
nie rad go jada na swoim obiedzie.

Mateusz Cygański.

OPOWIADANIA
O ZWIERZĘTACH POŻYTECZNYCH.

Ciąg dalszy.

4. Sowy.

Sów jest u nas dziewięć gatunków osiadłych; jedna zwana **jarzębatą**, przylatuje tylko przypadkowo; inna, zwana **białą**, bo stara rzeczywiście taką jest, przybywa na zimę, a jeszcze inna, zwana **błotnicą**, tylko na lato.

*) Z śpiewnika Ruszczyńskiego.

Sowy mają wiele nieprzyjaciół i bywają pospolicie prześladowane, choć najniesłuszniéj. Jednym zdają się one być brzydkimi, chociaż to niekoniecznie prawdą; innym nie podoba się ich wołanie i biorą je, nie wiedzieć skąd i dlaczego, za jakąś złą wróżbę. Jest to jeden z najśmieszniejszych przesądów. Jeszcze inni, mianowicie kościelni, ubzdurzyli sobie, że im sowy wlatują do kościoła i wypijają lub wyjadają olej lub tłuszcz z lamp. Jest to istnie tosamo błazeństwo, co z myszą zjadającą świece, a potym zamieniającą się w niedoperza. Tymczasem z wyjątkiem **puhacza i sowy długoogonowéj** wszystkie inne sowy należą do **ptaków bezwzględnie pożytecznych**, a **błotnica** jest przynajmniéj przeważnie pożyteczną. Byłby zatym i u nas już czas przekonać się o tym i nie wytępiać tych ptaków.

Puhacz, największa z sów u nas żyjących, przebywa samotnie w ciemnych lasach szpilkowych, w skałach i rozwalinach starych murów wśród lasów. Jest to bardzo drapieżny i żarłoczny, a przeto téż bardzo szkodliwy ptak. Niszczy bardzo wiele zajęcy; prócz tego bije młode sarny, króliki, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, wrony, gawrony, sroki, jeże i krety, wiewiórki, pilchy i inne zwierzęta. Porywa wprawdzie także myszy i inne szkodliwe gryzonie, ale pożytek stąd wynikający nie wyrównuje szkodom, które ten rabuś wyrządza. Więc téż zdaniem wszystkich zasługuje na tępienie. Gniazdo jego trudne do odkrycia; wszakże uważając na wabienie się starych na wiosnę i w jesieni znaleść je można. Prócz tego można go bić na wabika. Łupieżcę tego używają do zwabiania innych ptaków, a to głównie innych drapieżników szkodliwych, które, chociaż nie lepsze od niego, przecież znieść go nie mogą. Tesame usługi w tym względzie co żywy, czyni także wypchany puhacz. Atoli używanie puhacza do wabienia i strzelania lub łapania innych ptaków pożytecznych, a mniejszych śpiewaków na lep, jest rzeczą ohydną. Kto się lubi z strzelbą zaczajać, niech się zasadza na wilki, lisy, kuny i inne szkodliwe łupieżce, nie zaś na zwierzęta pożyteczne. Łapanie na lep jest rzeczą jeszcze ohydniejszą, bo jest połączone z nieuniknionym męczeniem i dręczeniem biednych ptasząt, którym się całymi smugami wydziera pierze wraz ze skórą. Darcie pasów a łapanie na lep, to jedno. Nie świadczy to też bynajmniéj o wysokim stopniu ukształcenia ogółu, że o tym trzeba jeszcze pisać.

Sowa długoogonowa czyli **uralska** jest wprawdzie u nas

dosyć rzadką, lecz szkodliwą; zabiera bowiem nawet w jasny dzień zające.

Z wyjątkiem tych dwu sów wszystkie inne żyjące u nas należą do ptaków bardzo pożytecznych. I tak **sowa jarzębata**, gdzie się obficie znajduje, staje się bardzo pożyteczną przez wyławianie szkodliwych zwierzątek niszczących zboża, trawy i nasiona leśne.

Sowa biała, u nas rzadka, żywi się także tylko myszami i podobnymi szkodnikami.

Puszczyk zamieszkujący lasy, sady, stare opuszczone mury, wieże i zabudowania gospodarskie, żywi się głównie myszami i szczurami, które on koło zabudowań ludzkich w ogrodach i lasach wyławia w znacznej ilości. Bierze także krety, ryjówki, żaby, jaszczurki, czasem młodego zajączka lub królika, oprócz tego zjada chrabąszcze, ćmy i gąsienice tych i innych szkodliwych owadów. Poluje zwykle o zmierzchu wieczornym i rannym; w zimie gdy mu bieda dokuczy, wylatuje czasem także za dnia, goniąc trznadla, wróbla lub innego ptaka. Zdawać by się więc mogło, że ptak ten nie jest dosyć pożytecznym. Pamiętać atoli należy, że myszy i owady są najgłówniejszym jego pożywieniem, a w żołądku jego znajdowano naraz do 100 gąsienic szkodliwego dla lasów szpilkowych zawisaka borowca (sphinx pinastri) i pędraków. W 210 odrzygnieniach, które badano, znaleziono 48 szczurów i myszy, 296 norników wielkich (szczurów wodnych) i myszy polnych (norników polnych i łąkowych), 33 ryjówek, 48 kretów, 18 małych ptaków i niezliczone mnóstwo chrabąszczów. Jestto dostatecznym dowodem niewątpliwej pożyteczności puszczyka. Gospodarzom zatym, powiada jeden z najznakomitszych badaczów i znawca ptaków drapieżnych i ich obyczajów, wyświadcza ta sowa nieocenione usługi zastępując doskonale koty domowe. Nic przeto nie usprawiedliwia nierozważnego prześladowania, któremu puszczyk ciągle podlega; owszem każdy gospodarz powinien jak najstaranniej ochraniać i szanować tego pożytecznego ptaka, gdy się w jego budynku osiedli, i nie niszczyć mieszkających zdala od zabudowań, bo i te po lasach i polach ważne oddają człowiekowi usługi, a w pewnych porach odwiedzają także mieszkania ludzkie i zabudowania gospodarskie, zwabione jedynie znajdującymi się tutaj myszami i innymi szkodnikami.

Sowa włochatka z krótkimi, suto po same pazury upierzonymi nogami, zamieszkująca lasy i sady obfitujące w stare drze-

wa, żywi się głównie myszami, ćmami i innymi szkodliwymi owadami nocnymi.

Sowa uszatka zamieszkuje lasy i tylko w twarde zimy zbliża się do mieszkań ludzkich, nie wchodząc jednak nigdy do zabudowań, lecz zostaje w sadach i innych pobliskich drzewinach. Przez dzień spoczywa na starych drzewach lub w szczelinach drzewami i krzewiną porosłych skał, w nocach pogodnych lata po miejscach otwartych, sąsiednich łąkach i polach, szukając tutaj myszy, kretów, żab, chrząszczów i ciem. W zimie niedostatkiem zmuszona bierze także małe ptaki.

Sowa błotnica, przybywająca do nas na lato, lubi zamieszkiwać okolice bagniste, torfiaste, podmokłe; bywa jednak także w okolicach suchych, zamieszkując tutaj krzaki i parowy. Żywi się głównie myszami, ryjówkami chomikami, żabami, świerszczami, chrząszczami itp. Przekonano się, że jedna para w czasie lęgu spotrzebuje najmniéj półtora tysiąca norników i tym podobnych szkodników. Prócz tego uważano, że sowa ta pojawia się w znacznéj ilości w okolicach, w których się wiele namnożyło myszy. Należy zatym do ptaków przeważnie pożytecznych. Tę i poprzedzającą sowę, to jest **uszatkę**, łatwo poznać po krótkich czubkach nad uszami.

Sowa zwana **płomykówką** trzyma się po większéj części budynków, starych murów, kościołów, wież, a rzadko lasów. Światła wcale znieść nie może; szukając więc ciemnego kąta, zdarza się, że niekiedy wlezie do gołębnika. Stąd ubzdurzyło się niektórym, jakoby się zasadzała na gołębie, chociaż się jéj gołębie wcale nie boją i spokojnie obok niéj siadają. Nie szuka ona gołębi, lecz mroku. Głos jéj podobny do chrapania mocno śpiącego człowieka. Stąd głupota ludzka wyprowadziła sobie rozmaite niedorzeczne wróżby i czerpie nienawiść do ptaka wcale niewinnego. Szkód w ptactwie dzikim, domowym i w zwierzynie nie wyrządza żadnych; owszem żywi się głównie myszami, szczurami, nornikami a przez to znaczne człowiekowi wyświadcza usługi. Zabijanie więc téj sowy jest ochranianiem myszy i podobnych szkodników z oczywistą szkodą dla gospodarstwa.

Sowa karliczka, najmniejsza z sów, lubi lasy liściaste z starymi drzewami, w zimie łowi ona myszy, pilchy, w lecie żywi się ćmami i innymi szkodliwymi owadami leśnymi, przez co staje się ona wielce pożyteczną dla lasów liściastych.

D. c. n.

Pawilonik dla orłów i sępów.

Kilkakrotnie podnoszono skargi na złe umieszczenie orłów i sępów w Parku Krakowskim i na ich dręczenie przez służbę ogrodową. W swoim czasie zwrócił Wydział uwagę zarządu tego Parku na powyższe i inne dręczenia zwierząt tamże się znajdujących. Na posiedzeniu dnia 11. stycznia b. r. przedłożyła Wna Pani Konsylijarzowa J. Zarewiczowa, członek Wydziału, plan pawilonu wraz z kosztorysem, wykonany przez p. Adama Federowicza, dla pomieszczenia orłów i sępów w Parku Krakowskim. Pawilonik o powierzchni 9 metrów kwadr., wysokości 4 metry, z dachem przykrytym papą z siatką z drutu żelaznego, odpowiednio pomalowany, kosztować będzie 200 złr. w. a. Na wniosek Pani Zarewiczowéj Wydział uchwalił w porozumieniu z zarządem Parku wystawić tenże pawilon i zebrać fundusz drogą składkową; zarazem upoważnił p. Zarewiczową, p. Rogowskiego i prof. Gustawicza do zbierania składek. Upraszamy zatym wszystkich przyjaciół zwierząt o przyczynienie się odpowiednim datkiem do powiększenia już dotąd zebranéj kwoty i do urzeczywistnienia powziętéj uchwały. Na tym miejscu składamy Wnéj Pani J. Zarewiczowéj serdeczne podziękowanie za trudy i mozoły, jakie ponieść raczyła podczas zbierania dobrowolnych datków. Kwota przez nią zebrana wynosi 55 złr. 20 ct.

Z Wydziału Krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt.

NOWO PRZYBYLI CZŁONKOWIE:

Naglicki Antoni, urzędnik kolei państwowych w Krakowie. — **Münnich** Tadeusz, asystent Katedry budownictwa Wyższéj szkoły Przemysłowéj w Krakowie. — **Pruszyński** Aurelijusz, litograf w Krakowie. — **Habina** Franciszek, gospodarz w Brzegach (p. Wieliczka). — **Komorra** Tadeusz, inżynier kolei czerniowieckiéj we Lwowie. — **Łabuda** Wincenty, nauczyciel w Jaworniku (p. Myślenice). — **X. Kromer A.** w Żywcu. — **Kołczyński** Józef, nauczyciel w Dobczycach. — **Lewandowski** Ludwik, pełnomocnik dóbr w Szczucinie.

Kalendarz myśliwski.

W Kwietniu wolno polować na cietrzewie i głuszce; — do 15. kwietnia na dropie i pardwy, ptactwo błotne (krzyki, dubelty, kulony, batalijony) i wodne: (dzikie gęsi i dzikie kaczki), — do 20. kwietnia na słomki.

Redakcyją numeru zamknięto 29. Marca 1889.

Nakładem krak. Stow. ochr. zwierząt. — Drukiem A. Koziańskiego w Krakowie.